

Wiesław Jan Wysocki

Wspomnienie o Wojciechu Ziembińskim

Niepodległość i Pamięć 8/1 (17), 125-129

2001

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Wiesław Jan Wysocki

Wspomnienie o Wojciechu Ziemińskim

Napisał o Wojciechu Ziemińskim bodaj najtrafniej Stefan Kisielewski, nazywając go „pożytecznym wariatem”. Epitet szaleńca ma swoje niekoniernie medyczne odniesienia; tak często nazywano ludzi, którzy podnosili przysłowiową motykę na słońce — wystarczy sięgnąć do kościelnych mortuologów lub literatury hagiograficznej, by takie określenia nabrały waloru uznania i zauroczenia. Był więc Ziemiński w tym znaczeniu wariatem pożytecznym.

Pozostawił po sobie wiele; obok tworców epizodycznych i czasowych brał udział w przedsięwzięciach trwałych, znaczących, chciałoby się powiedzieć historycznych. Pomnik ofiar agresji sowieckiej na Muranowie, sanktuarium katyńskie na Powązkach, Kopiec Chwały Żołnierzy KOP-u w Wytcznem, rewaloryzacja Grobu Nieznanego Żołnierza — to tylko niektóre materialne ślady jego aktywności. Wiele też było działań politycznych — KOR, ROPCio, KSN-y, obrona *campo santo* czyli pl. Marszałka Piłsudskiego z Grobem Nieznanego Żołnierza przed sylwestrowym pijaństwem, wymyślonym przez ratuszowych komercjalistów. Nie cierpiał zresztą tych wszystkich nuworyszy i nawróconych po krachu firmy spod znaku „22 lipca”, co w ciemno kupili Wajdową wersję „wszystko na sprzedaż”. Nie był z tych, co „kłaniają się okolicznościom i prawdom każą, by za drzwiami stały”, jak mówi Norwidowy wiersz, którym uczcił go Biskup Polowy w mowie żałobnej w katedrze połowej Wojska Polskiego.

Nie był łatwym partnerem — ani rozmówcą, ani kompanem. Był pasjonatem i angażował się całym sobą, toteż nie akceptował kunktatorstwa, połowiczności i niekonsekwencji. Zyskiwał przyjaciół, ale też ich tracił; nawet wieloletnie przyjaźnie potrafił być przerwać, jeśli ktoś według jego przekonania uchybił w kwestiach, które on określał jako narodowe imponderabilia. Ścierał się o te wartości i o ich realizację z różnymi osobistościami, także z uchodzącymi za autorytety krajowe i emigracyjne. Nie pogodził się z realiami III Rzeczypospolitej, bo więcej dla niego było tu „peereli-bis” niż wolnej, suwerennej Polski. Z tych powodów był przeciwnikiem „okrągłego stołu” i praktyki politycznej, sprowadzającej się do

tw. „grubej kreski”. Dlatego zaangażował się w ROP (z gorzkim finałem), a następnie jeszcze mocniej w opracowywanie społecznego projektu konstytucji, zgłoszonego następnie przez „Solidarność”, do którego przeformułował kilka bardzo istotnych sformułowań z najważniejszym bodajże dlań o kontynuacji tradycji II Rzeczypospolitej. Opinie, iż obywatelski projekt konstytucji stanowi niezaprzeczalny sukces, tyle że niespełniony, naszej demokracji, wyrażają uznanie także dla autorów i promotorów projektu, w tym również Ziemińskiego.

Sprawa katyńska stanowiła częśćkę jego życia i jego pasji, i to nie dlatego nawet, że był przewodniczącym Fundacji Katyńskiej, ale z wielkiego zaangażowania w temat; wielokrotnie przypominał, iż Katyń jest w pierwszym rzędzie sprawą państwa i najwyższe władze państwowe nie mogą się od tego zwolnić, następnie zobowiązania spadają na Wojsko Polskie i dopiero na dalszym planie dostrzegał Rodziny Katyńskie. Nie działo się tak, dlatego że nie widział tragedii i bólu najbliższych zamordowanych oficerów, ale dlatego, iż dostrzegał racje państwa polskiego i zobowiązania odpowiedzialnych za zbrodnię sąsiadów. Przypominał, iż pojednanie między państwami i między narodami nie może odbywać się w prywatnej rozmowie przywódcy państwa ze sługą Bożym co wyniósł głowę z rzezi — musi być publiczne i na warunkach sakramentalnych. Zdaje się, że do tej pory nie zdołano jeszcze przełożyć na język polityki problemu odpowiedzialności za zbrodnię, pokuty i zadośćuczynienia. Chyba i polityka polska, bo o rosyjskiej nie ma co mówić, nie natrafiła na kompatybilny system łączący po przodkach odziedziczone wartości narodowe z pragmatyką doraźnych interesów.

Wśród tych ostatnich kwestii podnosił Ziemiński kilkakrotnie sprawę Królewca, tej rosyjskiej kolonii, którą Stalin kazał zapłacić (czyli *zadośćuczynić* — to kościelne tłumaczenie dla tych, co rzadko do kościoła zaglądną odkąd przestali bywać służbowo lub zapomnieli, że rogi swoje w święconej wodzie umoczyli) za straty w wojnie ojczyźnianej, a którą to rekompensatę nazywa się dziś „lotniskowcem zacumowanym przy...”. Mniejsza o nazwy. Ziemiński głośno powiedział o rekompensacie za napaść w 1939 roku, okupację, bezprawny zabór ziem wschodnich II Rzeczypospolitej i określił możliwy wymiar tej rekompensaty ze strony Moskwy. Był sam. Inni nagle — wbrew sobie — nieoczekiwanie wytrzeźwili (czy tylko politycznie?) i szeptali o nim: oszołom. Po latach temat nieśmiało wrócił; postulat wolnej strefy wolnocłowej dziś już się pojawił, kiedyś ktoś rzuci w imię interesu jednoczącej się Europy ideę demilitaryzacji tego rejonu!? Może jeszcze raz Wojciechowe będzie na wierzchu...?

Bodajże w kręgach poselskiej komisji spraw zagranicznych zrodziła się zbożna myśl o pojednaniu z Rosją, ale w tym akcie wyraźny był duch Priwislińja gdyż niewiele miał on wspólnego ze świadomością reprezentowania Majestatu Rzeczypospolitej; partnerami nie miały być wcale elity kremlowskie czy reprezentanci Dumy, ale... „Memoriał”. A więc przedstawiciele władz naszego państwa nie z przedstawicielami innego państwa, ale z reprezentacją instytucji pozarządowej z Rosji (choć działalność „Memoriału” trudno przecenić i ma ona wielkie niepodważalne zasługi) mieli dopełnić aktu pojednania — i to 17 września. Absurd gigantyczny. Nie mógł tego politycznego szwejkostwa zaakceptować Ziemiński i choć już chory i ograniczony w możliwości poruszania się postanowił — jak sam określał — „struć” głupi pomysł. W tym samym czasie doprowadził do sesji w Senacie nt. „O likwidację skutków zmywy Hitler–Stalin”, w której wystąpili Władimir Bukowski i Wiktor Suworow (Władimir Rezun), Rosjanie bynajmniej nie reprezentujący władz, państwa czy swego

narodu, będący uosobieniem ducha wolnej od upiorów przeszłości Rosji. Uczestniczył też ambasador Ukrainy w Polsce dr Dmytro Pawlyczko. Nie pojednanie było przedmiotem dyskusji, ale refleksje, co trzeba zmienić, by przekreślić zbrodniczą przeszłość. Wystąpił z inicjatywą utworzenia Społecznego Trybunału Międzynarodowego do Osądzenia Komunistów, ale sił już mu zbrakło, by idea ta wybrzmiała jak powinna była; to ważna częśćka jego testamentu, która jest naszym zobowiązaniem. Czy podołamy?!

Moskwa i sowieckie imperium zła oraz ich ideologiczna baza — komunizm były dla Ziemińskiego obsesją i największym wrogiem. Była to zdrowa i naturalna reakcja człowieka, któremu życie darowało inne doświadczenie, a mianowicie „Heglowe ukąszenie”. Nie przeszedł był przez czerwone harcerstwo, nie rozkułaczał wsi, nie zasiadał osobiście lub „rodzinie” w krwawych trybunałach, nie robił klaki, gdy przemawiali „wodzowie narodu”, nie należał do elit towarzyszy, nie żałował, gdy zgasło „Słoneczko na Wschodzie”, nie pisał listów do władzy nie swojej, toteż później nie występował i nie wstępował na nowo, nie rzucał książeczkami do partyjnych kótek, nie doświadczył tego, co innych ukształtowało i nadało rozgłos. Do tego towarzystwa faktycznie nie pasował, bo był za porządny, i dlatego nie pasował do grona KOR-u w drugim etapie jego działalności. Podobnie było z Wolną Europą; ile komunikatów, apeli i innych tekstów Ziemińskiego zostało przemilczanych lub zastąpionych nie jego wersją!

W 1988 roku półroczny pobyt na Zachodzie pozwolił mu porozumieć się z emigracyjnymi przywódcami innych narodów zniewolonych przez Moskwę i współtworzyć Kongres Narodów Europy Środkowej i Wschodniej, z przysłą siedzibą we Lwowie. Był to ważny akt podjęty tuż przed lawinowymi zmianami, jakie nastąpiły wkrótce w tej części Europy. A kiedy, odzyskawszy własny głos, ledwie kibicowaliśmy dramatowi czeczeńskiemu, Ziemiński w 1995 roku należał do grona założycieli Komitetu Polska–Czeczenia, nie akceptując stosowania przez Rosję zasady zbiorowej odpowiedzialności, a tym bardziej aktów przemocy i ewidentnego ludobójstwa, i nie przyjmując postawy świata zachodniego, iż problemy Czechenów są sprawą wewnętrzną Moskwy.

Represjami, jakich był doświadczył, mógłby konkurować z największymi „politycznymi kryminalistami”. Nie uzyskał uznania i satysfakcji w wolnej Polsce; nie pamiętano o nim, gdy sięgano po orderowe trofea, zdobiące torsy tak wielu innych. Po rzuceniu idei utworzenia sanktuarium katyńskiego w kościele św. Karola Boromeusza na Powązkach mówił, że za to nie będzie odznaczeń i laurów, raczej „nieznani sprawcy”... I wykrakał to przyjacielowi ks. Stefanowi Niedzielakowi, którego potem żegnał na cmentarzu tą właśnie reminiscencją. Później, kiedy budowaliśmy pomnik Poległym i Pomordowanym na Wschodzie (jakże się zżymał i nawet księżowskiej sutannie nie przepuścił za nazwanie pomnika ofiar agresji sowieckiej pomnikiem Sybiraków) też jego słowa były dla wszystkich członków Komitetu i Fundacji zobowiązaniem — za tę pracę nie będzie żadnych nagród, odznaczeń... bo praca ta jest zobowiązaniem pokoleniowym, jest spłaceniem długu. I dlatego cholera go brała, kiedy dowiadywał się, że niewyżyci artystycznie i politycznie prominenci zgarniali wielkie sumy za oprawę uroczystości w 50-lecie Powstania Warszawskiego, Roku Katyńskiego etc. W głowie Ziemińskiego myśl nie powstała, by na tych uroczystościach narodowych można było zbijać fortunę; domagał się, by możliwość realizacji takiego przedsięwzięcia była najwyższym honorem. Ale honor to dziś „towar” deficytowy. Cóż, *pecunia non olet*.

Stał się liderem młodych i starych. Z jednej strony Związku Strzeleckiego i Federacji Młodzieży Walczącej, środowiska Biblioteki Historycznej i Literackiej, i z drugiej — Federacji Organizacji Kresowych, Związku Więźniów Politycznych Okresu Stalinowskiego, Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku i innych. Był nad wyraz aktywny i w tym się prawdziwie sterzał... Ale wiedział, że młode pokolenie karmione historycznymi kłamstwami jest podatne na prawdę o sobie samym i własnych dziejach i warto mu poświęcić swój czas. Miał po matce ciągoty pedagogiczne. Potrafił przypadkowe spotkanie z harcerzami przekształcić w głośny „proces piski o traktat ryski”, a o „reżyserskich” talentach Ziemińskiego powinni opowiedzieć jego obrońcy.

Był Ziemiński człowiekiem politycznym i politykę rozumiał w kategoriach wartości narodowych, racji stanu i długookresowego interesu państwa, a że upierał się przy swojej staromodnej aksjologii nie miał długich romansów politycznych, na scenie polityki pojawiał się raczej epizodycznie — ale jakie były to epizody! — by niczym efemeryda zniknąć na jakiś czas. Choć nie ujawniał specjalnie osobistych ambicji, to niewątpliwie chciał trafić na Wiejską. Jednak przygoda z parlamentem nie udała mu się, bo nie wszedł doń. Myślę, że ze szkoda, bo wielu mandatariuszy może by skorzystało z jego wiedzy historycznej i przywiązania do narodowej spuścizny. Może wtedy nie odsyłaliby go na kanapę... Ale dzięki uporowi z kanapą potrafił uczynić trybunę. On przecież uzyskał od prezydenta USA Cartera, podczas jego wizyty w Warszawie, głośny wywiad dla drugoobiegowej „Opinii”; i choć treści prezydenckich odpowiedzi były raczej wymijające, to fakt poważnego potraktowania pisma opozycyjnego ROPCio przez amerykańskiego przywódcę wywołał burzę w warszawskim (i nie tylko) światku.

Miał też Ziemiński swoją wielką chwilę życiowej chwały, kiedy mógł pokłonić się i po żołniersku zameldować Ojcu Świętemu Janowi Pawłowi II przy pomniku Poległym i Pomordowanym na Wschodzie. Kiedyś Prymas Tysiąclecia prezentował go Papieżowi z wielkimi honorami jako „najwierniejszego syna Polski”. Teraz przyszło mu walczyć o tytuł swego dzieła — nie pomnik Sybiraków, ale pomnik Poległym i Pomordowanym na Wschodzie — i następnie móc przywitać przy pomnikowym wagonie Namiestnika Piotra naszych czasów. A był już wówczas mocno przyciśnięty chorobą i prawie się nie ruszał; co jednak znaczy mobilizacja ducha, któremu posłuszne być musi słabe ciało! Wtedy, w czerwcu 1999 roku „Ziemia” nie tylko stanął na nogi, ale znalazł się przy pomniku i pięknie powitał Jana Pawła II. Modlitwa papieska przy wagonie deportacyjnym była najradośniejszym momentem życia Wojciecha, a możliwość złożenia żołnierskiego raportu Papieżowi dawała mu ogrom satysfakcji, że wypowiedział wówczas słowa: *Teraz już mogę odejść... tam!*

Znaczenie człowieka w jakimś stopniu uświadamia — gdy okoliczności są względnie normalne — jego ostatnia droga. Ziemiński, jak na człowieka stojącego daleko od rampy politycznej, miał pożegnanie wielce godne i dostojne. List Prymasa Polski i Prezydenta RP na Uchodźstwie, celebra pogrzebowa Biskupa Polowego, obecność Premiera, Marszałka Senatu, ministrów, posłów i senatorów, dostojników życia publicznego, wysokich oficerów i asysta Kompanii Honorowej WP, kwiaty od wielu osobistości, w tym od Kongresu Polonii Amerykańskiej Południowej Karoliny (Ziemiński był ich honorowym członkiem) czyniły uroczystość żałobną szczególnie podniosłą. Zgodnie z wolą Zmarłego wieńce złożone przy jego trumnie w katedrze polowej zostały następnie ułożone przy pomniku Poległym i Po-

mordowanym na Wschodzie. Kondukt z trumną na chwilę zatrzymał się i przy dźwięku werbli w asyście rodziny i oficjalnych gości żołnierze złożyli kwiaty przy pomniku.

Był jednym z twórców płaszcza hetmańskiego dla Jasnogórskiej Królowej Polski, jego lilijka i ojcowa pamiątkowa odznaka znalazły się wśród orderów i odznak płaszcza. Generałowie Abraham i Boruta-Spiechowicz uhonorowali go medalem niepodległościowym Pro Fide et Patrie. Odznaczenie państwowe otrzymał z rąk Prezydenta RP na Uchodźstwie Ryszarda Kaczorowskiego. Poszedł po najwyższe swoje odznaczenie, najwyższe honory... wedle swoich zasług.

Pozostaje naszym dylematem, czy potrafimy podjąć jego dzieło, jego niespełnione plany. Czy potrafimy tak konsekwentnie obstając przy wartościach ponadpokoleniowych i w duchu owych imponderabiliów służyć Sprawie? Najjaśniejszej! Wszak wobec Ojczyzny nie ma zasług, tylko niewypłacone długi! Tak żył, tego uczył Wojtek. I... za Horacym możemy powiedzieć, że nie cały umarł! Non omnis moriar!